

Wincenty Burek

# Pożegnanie z ziemią

Bratu.

1.

W mównieniu Marcina Krysa nie bledoliła skarga. Dzisiejsza wsiowa dola nie pobruździła mu twarzy tępy młotem grzyzot i frasunków. Nie zbiegła mu włosy, nie pogarbił się grzbiet. Jak zawsze, jak odmłodu — dzielnie stawał w każdejdejn bitce z przeciwnością, nieugięty, mocny, odważny. Zuch — chłop: Marcin Krysa.

Gospodarował na niewielu morgach. Ale idź, i obacz tam, na Ocinku, co się to wyprawia w obejściach tych niedawno jeszcze tuzów, bogaczy i bunotów zapomnianych. I przyrównaj tamtych do Marcina Krysa. Zmierz ich rozległe kmiecie włóki miarą Krysowego szczupłego zagonu. Przyłóż te pomordowane, zetlałe w zniszczenie postacie do wyglądu zucha, co się nie dozwolił bidą zatłamsić. I ostał — jak był: hartowny, zaradny, zasobny. Dąb, nie chłop: Marcin Krysa.

— Jak to jest, jak to może być — cudowali się niejedni, i w głowę zachodzili, i roztrośnie rozbierali w pospólnym obgadaniu ów sposób gospodarski, tyle skutecznego dla Marcina. — Jak to może być, żeby się tak wiedło, i było wszystkiemu nawspak. I na małych morgach do tego...

Dziw — dziwem, ale przecie nie mogło być inaczej, niż było. Nie mogło być inaczej i źle, bo na tych małych morgach włodarzył nie kto inny, ino ten właśnie Marcin Krysa. Gospodarowała głowa mądra i zbiegliwa, harowały ręce sposobne i umiejętnie, chodziły za robotą nogi niezwyte i czerstwe. Roztropna myśl Marcina Krysa dawno już pojęła widomą prawdę, że o chudobę w obozcie starać się trza, i chować jej jaknajwięcej. Plon z pola nie opędził wszystkiego, i zachyłku w gotowym groszu niewiele ostawi. Patrzenie w rolę dobre było za dawnych czasów, kiedy stare pokolenia i ziemi miały wiele, i rezechowały mniej. A dziś jakże odmienną się gospodarski sposób. A za tą odmianną musi pójść inna rada i inna starania około pożytku. Marcin Krysa pochwycił tę radę użyteczną i wprędce wykierował ją tak skutecznie, że w obozcie miał rasowe bydło, stadzinę spaśnej trzody, najlepsze nioski w kurniku, chmurę gęsi w zagacie. Grosz niezgorszy zbierał mu się coroku rozmaitym przychodem, grosz dopomagał na te i tamte ulepszenia i naprawy w polu i w zagrodzie, grosz rozpleniał grosz i wynosił Marcina Krysa w szczęście, w dobro, i w chwałę ponad sąsiadów, Marcin Krysa był najszczęśliwszym chłopem na Ocinku. We wszystkim mu się dało niezwykajnie, dziecka dorodnie się odchowaly i były walną wyręka i posługą, baba pasowna w umiejętnościach pola i domu, przygód złych nie było, znisty tutaj nie zalaży, kłopoty tutaj się nie tłukły. Szczęśliwy poprawdzie człowiek: Marcin Krysa.

— Morcina Kryse w cepku z rzyki babka na świat przyniesła — tłumaczyła se wieś sąsiadów szczęście. I ta wiara ludzka żyła na Ocinku, silna i długa w przeciągu czasu. Bo nie jej nie zmogło i nie podważyło ze stałego miejsca. Nawet kolenie.

Kiedy po długich, korowodach, prawach i mordogach wypadło wsi przyjąć ten nowy obyczaj na polach, wszyscy wtedy pogadywali to jedno:

— Chybnol Krysa na koleniach, chybnol nasceć. Za dobre dawne pola dostał tyła paskustwa. Taką górę gliny. O, urwie mu się teraz, juz styrech krów nie uchwono, nie...

Nie inszego zdania była baba wespół z dziećmi. Narzekaniom i labiedzeniem nie było końca w chałupie. Kobię i tym młodym, zdawało się, że już się gospodarzka zwieruszy i zniszcije. Cala wieś o tem gada przecie, obałowuje i nie dobrego na nowym dziale nie przepowiada. A jak wszystkich naród na jedno zgodny, to musi widać czaić się na tej paskudnej kolonii samo zło i szkoda nieodwrócona. Oj, nadeszła bida, i to z której strony!

Marcin Krysa jakoś wcale nie brał sobie do serca ani domo-

wych skarg, ani pożałunków wsi. Nie widać było z jego miny, żeby się zamartwił tym obrotem z polami. Podawemu wyglądał bucznie i wesoło, cichy zwyczajny uśmiech nie sfruwał mu z warg, zaś w oczach prześwitywało coś podobnego na zuchwały upór i w rysach twarzy wybiła się jakaś dumna hardość i wola. Jak wtedy zawsze, kiedy brał się za nowy zamysł i odmianę.

— Niech gadają, co chcą — odpowiadał kobiecie, kiedy mu nazywała od kumoszek tych złych ludzkich zdań o ich kolonii. — A jo pokoze, ze krzywdy nie będzie. Jesce mi pozozdroscą, zobocys.

Zobaczyla wnet wieś, jak się zabierać do polnej rchoty w podłym gruncie. Marcin Krysa pokazał wszystkim, że tu nie chybnął. Że nie szkodę będzie miał, ale pożytek nieladajaki. Szkodę mieli ci tutaj przedtem, co robili na waziutkich półkach, — nieobrobnych i niezdatnych do właściwej orki i doprawy. Teraz w kolonii, na dużym obszarze, łatwo wyorzą grunt akuratnie, łatwo zajeżdżać z plugiem z różnych stron, i tak, żeby było dla siewu i roli najlepiej. Nie spartaczył nic nigdzie, ziemię wyrobił do najpożyteczniejszego skutku, dowiódł wszędzie gnoju, poproszył nawozem, zasiał umiejętnie — i na przednówku musiał wysłać domowych na pole, żeby zżynali wierzchołki zbóż, bo się buili ponad miarę. A we żniwa leżały po górach garście wedle garści. Sute mende rozpowsiadaly żałosnikom zwy soka, że Marcin Krysa opłynie w plony wcale nie gorsze od tamtych z poprzednich swoich lat. Że nie było co bidzić nad zuchem, któryby na litych zozdze i palydze posiał, i jeszczeby mu się oplaciło sowicie. To więc kręcili głowami, dziwowali się serdecznie i zazwyczaj zapierali pogwarkę zawsze tem jednym:

— Carownik un, nie cłowik. A czarownik Marcin drugiego już lata nie zmieścił wszystkiego zboża w stodole. Na obozcie jedna kopka, a poza stodołą druga — wielbily chwałę gospodarza, plenny zabieg jego głowy i rąk, i dobroć wyraźną rolę. Ludziom wierzyć się już nie chciało. Podziw okolny gęby zamykał.

Tego roku po żniwach widziało się Marcina Kryse, jak często chodził tam i sam u skraja swojej kolonii, w miejscu, gdzie miękkiem, równym ukłonem zaczynały się jego grunty pobok drogi. Spory splacheć pola był ozdoba kolonii. Bywały tu dawnymi czasy ogrody warzywne — najprymniejsza popielatka sprzyjała burakom i marchwiom. Dzisiaj leci tedy nowa droga, wylaziła równo po malawym stoku i dzieli czoła kilkunastu nowym działom naprzeciw leżącym. Najlepsze tu miejsca pod stawiankę. Opodał szosa, zaraz za nią wieś Wysiadłów, a tuż przy drodze są wyborowe ziemie i jest blisko do wody, bo miejsce niskie. To całe okole, aż się prosi, żeby je zabudować, zadrzewić, wykorzystać na delikatny plon. Już stoją ano pierwsze pobudynki wpodłuż drogi i czekają na dalszych sąsiadów.

Marcin Krysa na jesieni niczego nie nasiał na sporym splachciu ziemi przy drodze. Powbijane w rozmaitych miejscach kolki powiadały o nowych zamysłach gospodarza. A gospodarz kręcił się tu aż do pierwszych śniegów, oglądał owe miejsce, rozważał. W jego oczach i całej twarzy leżał ten wyraźny znak, co zazwyczaj mówił o wykluwaniu się skutecznego zamiaru: twarda, harda wola.

2.

Właśnie miesiąc luty święcił drugą swoją niedzielę. I ten — ci owóż dzień — niedzielny umykał skorym krokiem w pomrokę zimowej, rozległej nocy. Dzień, powłoczony przykrym markotem zia bu i martwicy, ożywił się ino co i raz silniejszym chuchem wiatru i skoczny tańcem podrywanych śniegów. Wieś przycupnęła w spokoju święta, milkiwie leżały drogi i zachalupia. — Popiół nieba, coraz silniejszy zawiew wiatrów i zasypany śniegu wypełniły świat. A o zmroku już

wepchnął się tu rozbrykany wichher i zaczął dokazywać. Zatrzęsły się węgły, zaskrzypiały budynki i drzewa. Noc przyszła na barach rozhuku, świstu i jęku wichury.

Marcin Krysa nigdzie na odwieczny nie wychodził, choć lubił przepędzać niedzielne popołudnia pośród sąsiadów gdzieś na wsi. Dziś było mu jakoś dziwnie na duchu, osobiwy zgrzyt i męt w myślach posadził go w chałupie. Na dobitkę jeszcze wojenny postrzał w nodze począł siepać i dokuczać. „Oho, będzie odmiana w pogodzie” — wróżył sobie z boleści. Kobita i dziećka wyniosły się wcześniej na hajtki, ostał sam w chałupie. „Trza się cem zatrudnić, żeby się nie matyjasilo” — pomyślał. Więc wyjął ze skrzynki grubą książkę i popróbowal się rozerwać czytaniem. Z sykiem swego bólu i w żałości duszy nad losami Jędrka Połańca z Wiktorowej opowieści zanurzył się na spory przeciąg czasu w tem czytaniu. A wiatr dzwonił ze dworu szybami i mijał gałęziami gruszy, że chrobotały po ścianach.

Wpół odwieczera zatupały cypysie kroki w sieni. Marcin Krysa przeniósł oczy z książki ku drzwiom. Sąsiad bliski, Siwy Kaźmirz wszedł za próg. Skulony i ziębły, zaraz po witacze pogarnął się do cyganka, ażeby się ogrzać.

— Ale tyż świądził — zaczął spod pieca. — I tak mnie przejęło zimno przez te kilka stoj od chałupy, ze jaz...

— I mnie, kumie, juz od po-

ludnia kością drza. Na coś się widać zanosi...

— Zaniść się — zanieś. Takie potworaczne planety, wicie, wylazą, jak w lecie przed uliwą. I zryw się wiat, — o, słysycie, jak się tłuce?

Zasłuchali się obaj w ciszę chałupy i spoza niej dołapywali stłumione hałasy i pogwizdy rozbarzowanego wiatrzyska. Gospodarskie, czujne ich oczy poszły razem w uważnym patrzeniu na kalenicę stodoły, żeby wymiarować o sile wiatru, i czy aby, zaraza, krzywdy jakiej w poszyciu nie zrobi. Na szczycie stodoły widać było wyraźnie, jak wznosiły się pęki snopków i trzepotały w nagłych podrygach. Martwa kalenica — ożyła.

— No i jak tam, kumie, nie będziecie cekali ze stawianką? — napoczał pogwarkę Siwy Kaźmirz. Kolonję miał pobok Marcina, to go juścić musiało, żywo obchodzić, co sąsiad zamyśla z wiosną, której niedługo przecie czekać. Bo już z wiosną ruch pójdzie tam na nowem wedle drogi, pobudynki wyprowadzać się będą naschwał, Marcin Krysa przenosi się ze wszystkiem na kolonję, gdzie i wygodniej i pożyteczniej. Juści, że pożytecznie. Dodał jest akuratniejszy w polu, nie trza się będzie wlec do roboty tyli kawał, taka wygoda w paszeniu, w zwózce, we wszystkim. A jakie ogrody dadzą się wprowadzić, jaki sad pod zachód słonka może się rozkrzewić na pszennej ziemi. To niedziwota, że Marciniowi Krysie tak śpieszno ciskać stare obręby, zwłaszcza, że i ma

sporo tej materji, co uciążliwszy nawet zamysł dopomoże zmajstrować. Jemu to zawsze łatwiej, niż komu.

— Już na wiosne ruszycie robotę, prowda? — Siwemu Kaźmirzowi pilno się było wywieść, jak i co. Nie ino on jeden ciekaw był się planem Marcina Krysa. Przecie każdyby trzy razy pomyślał, zaczemby śmiać chwycić za taki zamysł, co i w dobry czas bywa ciężki w zrobieniu, a cóż dopiero teraz. W taką bidę niestrzymana.

I po chwili Marcin Krysa rozłożył przed sąsiadem ten plan ze stawianką.

— Bo wicie, kumie, tak...

Drzewo na pobudynki, majstry do stawianki i wszystko, co potrzeba po temu, już zgodzone, umówione, pozadatkowane. Pieniędzy gotowych mało wiela się ma, na grubszy rozchód spewnością ich nie pozabraknie, a nie starczy, to na to znajdzie się rada. Dwie spasioe świnię są na sprzedaż. I krów ze dwie można zepchnąć. O, w stodole nie się nie utrwoniło, cały zbywający sprzęt z roku będzie stał do rozpensu. Wystarczy, napewno wystarczy.

— Mówicie, że nie wydole, że za nie utrwoni chudobę? Ej, nie boje się. Nase jest tanie, ale i kupne staniało.

Zatopili się docna w obrachunkach, w poręcznych zamysłach, w przyjacielskiej, serdecznej naradzie. Z zakąci wylaził chyłkiem mrok i gramolił się po chałupie. Owijał się wokół grotałów i wprędce zapanował, pajęczynie podobny. A w mrok na dworze wzywaly się gwałty wichru, mrok miesiły i roztrzącały krępkie napędy niewiadomej siły — i raptlem jeszcze zadudnił znany głuchy, groźny głos.

Gadka zerwała się w połowie zdania. Obaj podbiegli do okna i ujrzeli przez blade szybki kurzawę planet nad oborą. A śród nich migot przez pół nieba. W uszy coraz wiercał się ten znany, groźny głos. Popatrzyli na sie bie w zdumieniu.

Z trzaskiem, zziąjana wpadła do izby Krysina.

— To wy tu siedzita i nie wita nic, co się na świeci robi? Kunieć świata prowdziwy. Wichura, światła nie widać, od Świętego Krzyżawali chmura, grzmi. Pierony biją! — W blasku zapalanej gromnicy przeraźliwie błada, przelękła jej twarz wykrzywiła się nie dopoznania.

Chłopy wyskoczyły na dwór. Koło węgla zamietło Siwym Kaźmirzem tak, że nie mógł kroku po stawić. Marcin Krysa uczeplił się sztachet i patrzył, nie nie rozumiejąc z tego wszystkiego. „W ziemie — pierony!” — mamrotał oślepiiony razporaz straszliwymi błyskawicami, rozmiętanymi od zachodu i półnoka. Huk bębniący, turkot nad głową, wycie wichury, noc czarna jak smola po każdym lśniściu — i ta myśl o ziemie, ten śnieg pod nogami, śnieg bijący po twarzy, — wytręcały myśli z łożyska. Scierpły ciała i stercały przyklejone do podpór. Strach padł.

Raptlem „Jezus, Marja!” — wydarło się obom z gardzieli. Jakby ziemia się rozdarła koło nich. Przeraził huk i straszna siła starła obu i wywaliła nawznak. Kiedy się podnieśli — wszystko wokół nich było jednym wielkim płomieniem. Ostatkiem pogrucho-tanych sił dźwignęli się ze zwalów ożarzonego śniegu. Ratować! Ratować!! Wlecieli do izby. Siwy Kaźmirz zgarnął poduszki i wepchnął naręcz, siłą go wcisnął w wyciągnięte ramiona Krysiny, bezradnej i rozlatanej po izbie w niemocie twogi. Jeszczeczachwycił jakieś pierzyny, po dwo dze popchał ku wyjściu krzycząc kobitę, i razem wybiegli na dwór. Na głowy leciały im zwity ognia ze strzechy. Strugi ognia przegrodziły już jedyne wejście do wewnątrz. A tam ze środka krzyczał Marcin Krysa wielkim głosem jakieś słowa, głuzył je trzask ognia, huraganu, nawalnice grzmotów, i po chwili wypadł z płomieniska, oślepiły, poparzony, w tlejących chabach.

— Bydio! Ratujta bydio — z wrzaskiem leciał ku chlewom, po-

mylił w dymie drogę i biegł niepo radnie ku rozryczanym, kwiczącym zwierzętom. Pogonił za nim Siwy Kaźmirz i miał jeszcze tyle czasu, ażeby odciągnąć zwistego na stande w drzwiach stajni, gdzie rzała i tłukła się w bólu kobyla. Na obozcie już ani wytrzymać. Siwy Kaźmirz zarzucił napół żywego Marcina na siebie i, jęcząc, poszukał wyjścia poza żogę. Porwali ich jacyś ludzie, zaczęli gasić na nich szmaty, tarzając ich w stopniałym od żaru śniegu.

Pobudynki, gadzina, statki, chudoba cała, wszystek zachyłek, wszystka majątność Marcina Krysy i dorobek całych lat topiły się pod groźnym niebem. W warkocie burzy i w jęku piorunów. W otoku śniegu i mrozu.

Stopniały ze szczeniem plany i zamysły.

3.

Dogrzewa wczesne słońce wiosenne, zalewa świat potopem promieni i budzi każdy przygasły żywot. Tyle słonecznego wesela w tym roku. Tak chybko zleciał zamróż z pół. Skoźna radość wytryska naokół, że jest tak dobrze w tej wiosennej światłości. Życie ma uśmiech szeroki.

Dla wszystkich na Ocinku, ino nie dla Marcina Krysa. Dla niego nie zagłada tutaj uśmiech wesela. Gdzie tam mówić o ucieśce. Odeszła światowa uciecha od niego w tamtym dniu okropnym i już nigdy tu nie wróci. Ze tak będzie, to widać.

Dobrych parę tygodni mocuje się nazabój z uchwytami śmierci. Mało że się srogo poparzył, że jest cały w bliznach niezagojonych i pęcherzach. Nadomiar jeszcze otworzyły się w nim jakieś słabości, spewnością z przeżiebienia, bo siedzieć nie było gdzie i trza było bidę swoją rozwłóczyć po cudzych, zimnych łatach. Lekarstwa nie rzadziły, pomoce różne nie naniósły pomyślnego skutku. Marcin Krysa tlał cicho i dogasał wreszcie na garści słomy w sąsiadowej izbie. Kobita i dziećka nagotowały się na najgorsze. Żeby chociaż jeszcze tego jajka święconego doczekał.

W Wielkim Tygodniu oprzytomniał conieco, i zdawało się, że mu jest lepiej. Wszyscy przepowiadali pomyślny obrót w słabości. Słońce i piękna pora dopomaga może bidakowi, i wstanie któregoś dnia, aby dźwigać gospodarkę z upadku. Marcin Krysa wyraźnie orzeźwił. Świadomem okiem popatrywał na to, co się działo wokół.

Zrana w Wielki Piątek zawołał do siebie swoich najbliższych. Bez niczyjej pomocy dźwignął się na posłaniu i usiadł. Rodzina, i kto tam nie był w chałupie pod ten czas, obstarpił go, ciekawi — czegooby chciał.

Marcin Krysa rozejrzał się wszystkie twarze, uśmiechnął się, a w oczach i w wychudłych policzkach pojawiły się te same znaki, co zawsze kiedyś wróżyły o hardości woli i zamysłach ku pożytkowi. Dawnym, mocnym głosem nakazał:

— Chłopoki! Przynieście mi z kolonii skibę ziemi. Ino żeby z posiwiem była.

Na jednej nodze uwinął się z posługą. Ostrożnie wnieśli na łopacie placek popielatej treści z zielonemi wicherkami młodej runi na wierzchu.

— Położta wedle mnie. O, tu pod ręką.

Marcin Krysa wyciągnął obie ręce ku wiotkim piorkom posiewu, wsunął palce między łożyski i jakby gładził je czy prostował najmiększym poruszeniem. Oczy wpiły się w roztrzęsione grudy, pospinane korzonkami, oczy natrzeć się nie mogły na wiosenny cud wzrostu życia. Nagłym ruchem ręki pochwycił umajoną, rodną ziemię i zwał ją silnie zaciskiem palców. Ścisnął ją tak, że aż żyły nabrzmiały mu na skroniach. Twarz coraz jaśniała i powlekala się blaskiem uciechy. I wnet potem ostygła w tym znaku ostatniego szczęścia.

Marcin Krysa w gospodarstwie śratanu rozstał się z wiercą ziemią. Ażeby tak wcześniej i tak niespodzianie dać jej siebie w miłosierzną opiekę.

Janusz Kawecki

## Z cyklu: Lutnia ziemleńska Gdy zegar bije...

Krzepczyśmy, Bogu dzięki, więc oto nie kwilim, że na ławie przytardej do snu nam posłano. Dobry pod czerep łokieć i pod grzbiety kilim! — Nie wstyd, pieśczechu, wołać o puch i o siano?

Zgąst nagle chwiejny płomyk w cynowej tuleji, ruda głównia w kominie zetliła się docna. — Jakoż spać, jakoż drzemka powieki ma skleić, gdy słowiczem klaskaniem lutnia śpiewa nocna!

Zwinięte wkłab, westchnęły gdzieś z kąta ogary. Promień miesięczny przypadł do pańskiego krzyża. „Raz - dwa - trzy - cztery... biją powoli zegary. Jeszcze jedna godzina do wieczności zbliża...”

Wawrzyniec Czereśniewski

## Nacięcie toporem

Na świerczyny pniu starym poślubionym bruzdam! Widzisz grynszpanową zaśnieżoną korę. I to, że ktoś odlupał korę do lśniącego drewna. Równie lśniącym, ciężkim, żelaznym toporem.

Oko, cięte w korze do słonecznego drzewa. Jest dobrem Okiem Opatrzności Bożej, Wstęgi przyszłej żywicy to promienie Oka, Które wszystko dostrzega, Które wszystko może.

I dlatego w tym lesie jasno i swobodnie, Szum biega od wierzchołka drzewa do wierzchołka. Goni się z konarami, igłom się wymyka, Półki na porębie zawady nie spotka.

To Oko Opatrzności, nacięte toporem, Łaskawie rość pozwala mchom kołtunowatym, Dalej patrzy i bystrzej, niżli ty, człowieku, W lesie od nierozumu zdziwiony i błąd.

Ogarniam zwarcie sosnę ramionami, Wydaje się wówczas, że sosna z mojej piersi rośnie, Sęki tryskają żywicą, rozszerza się kora,

Konary ku niebu rosną coraz głośniej.

Wydaje się wówczas, że korzenie sosny W pierś się moją wparły niczem w dobrą glebę. Przysgniatając pnem prostym, okrągłym, Wzrastają miarą serca, na jego potrzebę.

Albo to nieprawda, żeby z mojej piersi Wyrastała taka wysoka sosna, sosna ciężka, Przecieżyby jej korzenie musiały się kulcić, Nie miałyby gdzie mieszkać...

Jeśli nieprawdziwie sosna z piersi rośnie, Spod serca jak na swojej, dobrej, złotej roli, Prościutko, nieulekłe w bezgraniczne niebo, To jednak tak prawdziwie sercem targa, boli.